

Marek Jurek: Strategia, czyli narodowa odpowiedzialność

Europa polityczna będzie wspólnotą losu, wspólnotą mimo różnic albo nie będzie jej w ogóle. Natrętnych ingerencji pod pretekstem „wspólnoty wartości” nie powstrzymamy ani w pojedynkę, ani odwołując się do „suwerenności absolutnej” – pisze Marek Jurek w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Nowy ład (w budowie)”.

Konsekwentną realizację racji stanu może zapewnić ciągłość suwerennej władzy, consensus (zmieniających się u władzy) sił politycznych i wreszcie – w mniejszym stopniu – myśl polityczna, oddziaływająca na władzę i opinię publiczną. Ten trzeci czynnik jest materialnie najślabszy, ale jednocześnie najbardziej niezależny od chwilowych nastrojów wyborczych czy zgody oponentów. Tym bardziej może bezpośrednio kształtować odpowiedzialność inteligencji, nie dlatego, by wszyscy czytający mieli od razu pisać, ale dlatego, że to właśnie odbiorcy zapewniają wpływ każdej idei. I to inteligencja powinna być zbiorowym oparciem dla narodowej racji stanu.

Większość problemów międzynarodowych, z którymi mamy dziś do czynienia – ideologiczne ataki Unii Europejskiej na Polskę, kontynentalna, „cis-atlantycka” orientacja Niemiec, Francji, a także samej UE, dwuznaczne stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec Rosji, oddziaływanie Rosji na opinię pravicową w świecie zachodnim – znane

były od dawna. Polska, a przynajmniej polska myśl polityczna, mogła wobec nich od dawna wypracować stanowisko. W końcu „rządzić znaczy przewidywać”, a myśleć – znaczy rozpoznawać tendencje.

Solidarność podwójnie ograniczona

Do tej pory polską refleksją polityczną rządziły dwa mity – Zimnej Wojny i jedności europejskiej. Zakwalifikować je można jako mity, bo oba opierały się na założeniu solidarności zachodniego liberalizmu z Europą Środkową, solidarności zakładającej partnerstwo i wzajemność.

*Do tej pory polską refleksją
polityczną rządziły dwa mity –
Zimnej Wojny i jedności
europejskiej*

W czasie
rzeczywistej Zimnej
Wojny Zachód
realizował doktrynę
powstrzymywania, a
nie wyzwalań. Do
początku lat 1980.

doktryna wyzwalań, czyli zmuszenia Związku Sowieckiego do wycofania się z państw okupowanych – była zupełnie peryferyjnym nastawieniem radykalnych polityków Partii Republikańskiej. Nabrała (choć nie pod tą nazwą) pewnego znaczenia w okresie prezydentury Ronalda Reagana, w reakcji na wystąpienie Solidarności w Polsce i opór, jaki Sowieci napotkali w Afganistanie. Ale i wtedy wyrażała się nie w bezpośredniej konfrontacji zbrojnej, a jedynie w nacisku ekonomicznym na ZSSR i wsparciu materialnym udzielanym antykomunistycznym partyzantom w Trzecim Świecie.

Zimna Wojna jednak się skończyła i pomijając oczywiste względy ekonomiczne, reakcję na ekspansję gospodarczą Chin komunistycznych, to nawet z (drugorzędnego w polityce amerykańskiej) ideowego punktu widzenia – nie ma powodów, by Amerykanie rosyjski postkomunizm traktowali jako większy problem niż chiński, doskonale zmodernizowany, komunizm. Owszem, Amerykanie nie chcą, by Rosja zamieniła się w mocarstwo dominujące koncert europejski i są gotowi od czasu do czasu wznawiać instrumenty „powstrzymywania”. Tym niemniej reakcje na aneksję Krymu czy wcześniej na rosyjski najazd na Gruzję – nie wychodziły poza politykę „protestów i sankcji” znaną z czasów, gdy obowiązywała doktryna Breżniewa.

Drugi mit to jedność europejska. Wielkie Rozszerzenie Unii Europejskiej było od początku przez jej klasę rządzącą traktowane jedynie jako Wielkie Przyłączenie. Zresztą i u nas protagoniści unijnej akcesji mówili o „wejściu” do UE, a nie o zawarciu unii z jej państwami. Jedynie złudzenia mogły przysłaniać znaczenie faktu, że już negocjacje nie były rozmowami o ustaleniu warunków „zjednoczenia”, w którym Polska i inne kraje Europy Środkowej zgłaszałyby swoje postulaty i mówiły o swoim narodowym dorobku, w którym państwa „starej Unii” dokonywałyby zmian w jej dotychczasowych regulacjach. Przedmiotem rozmów akcesyjnych było jednostronne przyjęcie „dorobku wspólnego” UE przez państwa Europy Środkowej, łącznie na przykład z obowiązkową akceptacją perspektywy unifikacji walutowej, która przecież została (definitywnie) odrzucona przez Wielką Brytanię i Danię czy (bezterminowo) przez Szwecję. Dominacyjne nastawienie wobec Polski władze Unii manifestowały już w okresie prezydentury Lecha Kaczyńskiego, w ideologicznych atakach na nasz kraj (łącznie z pojawiającymi się już wtedy filipikami przeciw polskiej homofobii) i w

naciskach na bezzwłoczną ratyfikację traktatu lizbońskiego, mimo odrzucenia go w referendum irlandzkim i wstrzymywania ratyfikacji przez Czechy.

Psychologia klasy rządzącej UE pokazywała jasno, że ich intencją nigdy nie było zjednoczenie z państwami Europy Środkowej, iż taki „relatywizm” wobec własnych założeń politycznych nie powstał im w głowie, że owszem, zgadzali się na to, że „proces dostosowawczy” naszych krajów trochę potrwa, ale na nic ponadto.

Narodowa abdykacja

Podwójny mit solidarności, wiara, że struktury międzynarodowe zastąpią narodową politykę i że nasz głos będzie się liczyć, skoro żyjemy w „demokratycznym świecie” – wywołały poważne deficyty polskiej refleksji i inicjatywy. Najbardziej widoczne skutki spowodowało to na planie europejskim. Unia okazała się być realnym instrumentem mentalnego wynarodowienia, przenoszenia zasadniczego odniesienia solidarności z własnego państwa na struktury unijne. Platforma Obywatelska dla zademonstrowania unijnej solidarności zaczęła zaprzeczać nie tylko teoretycznym postulatom racji stanu (które można zawsze dyskutować), ale własnym, świadomie prezentowanym deklaracjom. I tak od polityki „Nicei albo śmierci”, definiowanej przez Jana Rokitę i Donalda Tuska – w ciągu dwóch lat przeszła do (zdefiniowanej tym razem przez Sławomira Nowaka) postawy „prymusa Europy”, domagając się ratyfikacji obalenia norm nicejskich przed wszystkimi innymi krajami, wyprzedzania wszystkich w ratyfikacji traktatu lizbońskiego.

Unia okazała się być realnym instrumentem mentalnego wynarodowienia, przenoszenia zasadniczego odniesienia solidarności z własnego państwa na struktury unijne

Równie, a może nawet bardziej, drastyczne było to w planie ustrojowym, gdzie od afirmacji ochrony życia w oficjalnym programie Platformy Obywatelskiej – PO przeszła na

podyktowane przez UE pozycje całkowicie aborcjonistyczne. W przeddzień wejścia do Unii politycy PO (z Andrzejem Olechowskim wówczas na czele) zapowiadali obronę wartości chrześcijańskich na forum unijnym. Wystarczyło parę lat w Unii, by ich polityką stała się promocja bezkrytycznie przyjmowanych zagranicznych dyspozycji na forum narodowym.

To samo ubóstwo strategii i refleksji ujawniło się w planie bezpieczeństwa i w stosunkach polsko-amerykańskich. Nasza polityka sprowadziła się do ideologii „Szpic, Flanka & Fort Trump”, kontentując się rolą „przyczółka na flance”. Oczywiście, *si vis pacem, para bellum*, ale zachowanie pokoju też musi mieć swoją politykę. Tymczasem podwójny interes Polski polegał na (1) odsunięciu jak najdalej na wschód strategicznych granic Zachodu i (2) na zmniejszeniu możliwości rosyjskiego ataku na Polskę. Miarą pierwszego jest zaangażowanie amerykańskie w Estonii i na Łotwie, we wschodniej Ukrainie i w Gruzji. Warunkiem drugiego – demilitaryzacja okręgu królewieckiego i neutralność Białorusi. Tymczasem w obu

wypadkach nasze władze przyjmowały postawę „konsumenta bezpieczeństwa”, a nie partnera przymierza, który wskazuje działania konieczne dla umocnienia bezpieczeństwa zbiorowego.

Nasza Europa

Polska leży w Europie Środkowej. Inicjatywa Trójmorza i Grupa Wyszehradzka to konkretne ramy współpracy, która jednak powinna zostać podniesiona na dużo wyższy poziom. Od lat o takiej potrzebie i jej wielorakich, kulturowych i politycznych przesłankach mówił Viktor Orbán.

Nie chodzi przy tym o opozycję wobec struktur, w których uczestniczymy, ale o wzmocnienie naszej niezależności i obecności w ich ramach. Owszem, również o zabezpieczenie geopolitycznej pozycji naszego kraju na wypadek, gdyby dotychczasowe formy współpracy państw Zachodu weszły w fazę kryzysu.

*Jeśli nie sformułujemy wprost
wspólnego stanowiska państw
Europy Środkowej, nie
zbudujemy płaszczyzny
partnerskiej współpracy z
państwami zachodniej części
Unii*

Europa polityczna
będzie bowiem
wspólnotą losu,
wspólnotą mimo
różnic albo nie
będzie jej w ogóle.
Natrętnych
ingerencji pod
pretekstem
„wspólnoty wartości”

nie powstrzymamy ani w pojedynkę, ani odwołując się do „suwerenności absolutnej”. Jeśli nie sformułujemy wprost wspólnego stanowiska państw Europy Środkowej, afirmującego wartości cywilizacji chrześcijańskiej, kultywującego pamięć o walce z komunizmem i konieczność historycznego potępienia marksizmu, potwierdzającego wolę zachowania suwerenności naszych państw, jeśli nie przedstawimy tego stanowiska nie jako retorycznego suplementu do zabsolutyzowanych „wartości unijnych”, ale jako zbioru praw podstawowych naszych narodów – nie zbudujemy płaszczyzny partnerskiej współpracy z państwami zachodniej części Unii. „Świat musi zrozumieć – pisał Adolf Bocheński – że cele polskiej racji stanu służą nie tylko naszej ambicji i naszemu interesowi narodowemu, ale także pewnym ogólniejszym walorom etycznym i cywilizacyjnym”. Takiej strategii mogą się bać tylko ci, którzy w ogóle w pluralizmie i jego pochodnych (przede wszystkim w demokracji) widzą jedynie zaczątek anarchii i bezładu. Tymczasem nawet zawieranie kompromisów wymaga określenia stanowisk.

Cóż znaczy jednak wyższy poziom współpracy? Przede wszystkim oparcie traktatowe, na wzór Traktatu Akwizgrańskiego między Niemcami i Francją, odnawiającego stary Traktat Elizejski. Obie umowy są uznawane za motor Europy. Traktat Wyszehradzki (choć może na początek mogłoby chodzić choćby o dwustronny układ polsko-węgierski) byłby stabilizatorem partnerskich relacji dwóch części politycznej Europy.

Inną formą uniwersalizacji naszej polityki jest Międzynarodowa Konwencja Praw Rodziny, nad którą prace zlecił naszej dyplomacji premier Morawiecki. Niestety, jak to w naszej polityce – deklaracja do tej pory pozostaje przebrzmiałym „eventem”, nic bowiem nie słyhać o

postępach w jej realizacji. Tymczasem państwa odmawiające ratyfikacji genderowej konwencji stambulskiej wręcz czekają na taką polską inicjatywę. Ona właśnie jest praktyczną formą prawnego zdefiniowania naszych wartości cywilizacyjnych.

W planie bezpieczeństwa, przeszło cztery lata temu, w przeddzień inauguracji kadencji Donalda Trumpa, pisaliśmy z Kazimierzem Ujazdowskim o potrzebie sformułowania polskich postulatów na wypadek nowego resetu amerykańsko-rosyjskiego. Chodziło przede wszystkim o demilitaryzację Królewca. Ten postulat powinien stale leżeć na stole, wznawiany w wypadku każdego rozmów naszych sojuszników z Rosją. Powinien być czynnikiem wspólnego stanowiska Polski i państw bałtyckich, ewentualnie również Szwecji i Finlandii. Chodzi bowiem o to, by ochronić Polskę przed wojną, a nie o łudzenie się, że naszą pozycję oprzemy wyłącznie na konfrontacji, którą nasi sprzymierzeńcy traktują jako zło konieczne.

Przede wszystkim należy jednak sformułować i realizować narodową strategię. „Nasz ideał polityczny polega na wytworzeniu mniej lub bardziej ścisłej federacji jak największej ilości narodów leżących między Rzeszą Niemiecką a etnograficznym terytorium rosyjskim” pisał w przededniu wojny światowej cytowany już Adolf Bocheński. Mija właśnie 77. rocznica jego bohaterskiej śmierci. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, nadzieje, którym poświęcił swoje życie, mają realne podstawy i przesłanki realizacji.

Marek Jurek



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.